

Niech będzie: powieść

Palcem wskazującym nacisnąłem niewidoczny przełącznik na powiece i uruchomiłem maszynę czasu w swojej głowie. Kartki z kalendarza opadały jak pasma włosów po chemioterapii. Och, moje wspomnienia, czyż jesteście ważniejsze od cudzych? Był marzec, rok 1994, siedzieliśmy przed wejściem do kawiarni Ferrari, paliliśmy trawę i tarzaliśmy się ze śmiechu. W promieniu dwudziestu metrów od ogródka, dokąd docierał dźwięk naszych słów, ludziom rozciągały się usta i tworzyły wachlarze zmarszczek wokół oczu. Zuhra, Nuno, Arif, Žile i ja śmialiśmy się tak, jak można się śmiać tylko podczas wojny. Naprzeciwko nas, jakieś dwieście metrów w linii prostej, znajdował się tradycyjny bośniacki dom należący do partyzanta Nuriji Pozderca.

- Niech żyje Nurija, legendarny antyfaszysta!
- Ale on umarł – powiedział Žile.
- No to niech żyje w zaświatach!
- My jesteśmy siłą niebiańską!
- Niech to martwi Nurija, legendarny partyzant z czerwoną gwiazdą na czapce.
- Jebać go, pij lepiej za swoje zdrowie!
- Śmierć faszyzmowi i czerwonym ludziom!³⁰

30 Aluzja do popularnego w socjalistycznej Jugosławii hasła: „Smrt fašizmu – sloboda narodu” [Śmierć faszyzmowi – wolność dla ludu] (przyp. tłum.).

– Wolność to pralka z suszarką!

Zuhra wróciła z knajpy, niosąc cztery butelki piwa. Pochłanialiśmy napój z chmielu jak Popeye konserwy szpinaku. W kadr wszedł Ćipo.

– Hare Pašin powiedział, że wszyscy dowódcy drużyn i plutonów oraz pozostali żołnierze mają stawić się na przystanku autobusowym o trzeciej po południu, kiedy ze Skoku przyjedzie autobus – referował Ćipo.
– Ale pierdolić front, mamy wolne, ja też nie planuję nigdzie iść. Jeśli spotkam Hare, powiem mu, że was nie widziałem.

Śmiertelnie poważny wstałem i ruszyłem do domu.

– Dokąd idziesz? – zapytała Zuhra, po tym jak zapadła cisza, a śmiech rozpląnął się w przyjemnym wieczornym powietrzu.

– Idę na Wzgórze Hasin odwalić tam kitę.

Czułem jak szpile czegoś obrzydliwego kłują mnie w twarz.

1. W domu założyłem mundur i oporządzenie, wzięłem kałasznikow i plecak szturmowy, w którym trzymałem dwa granaty lokalnej produkcji znane pod nazwą czazinki oraz parę grubych, wełnianych skarpet.
2. Umyłem ręce i twarz.
3. Wszystkie te czynności wykonywałem z obojętnością androida.
4. Pożegnałem się z rodzicami i ruszyłem w stronę przystanku.

5. Pokłoniłem się czterem stronom świata.

6. Przygotowałem się w myślach na śmierć.

Stałem w umówionym miejscu przy stacji benzynowej i patrzyłem na puste fabryczne hale huty żelaza.

Broń zawiesiłem na ramieniu jakbym był na warcie.

Z położonej sto metrów przede mną Ćuprii dobiegały odgłosy intensywnej strzelaniny.

Na drodze nie było żywego ducha.

Tylko flaga wojskowa zawieszona na terenie fabryki łopotała na wietrze.

W tej dzielnicy było kilka knajp, obszar kontrolowali bojownicy z Sanskiego Mostu.

Wielki ceglany komin stanowił metaforę pustki i samotności.

Niewiele dalej stalowy komin fabryki Incel stał pochylony jak Krzywa Wieża w Pizie, bo samolot JNA typu jastrząb, spadając, zahaczył go skrzydłem.

Strzelanina nie cichła, wyglądało na to, że trwają uliczne walki wszystkich przeciwko wszystkim.

Nie ruszałem się z miejsca, sparaliżowany działaniem trawy.

Na drodze prowadzącej z Ćuprii biały mercedes powoli zmierzał w moją stronę.

Kiedy samochód się zbliżył, zobaczyłem, że kierowca leży z głową opartą na różowej kierownicy.

Jego tułów był całkiem zakrwawiony.

Miał białą kelnerską koszulę w podłużne paski.

Mercedes uderzył przednim zderzakiem w maszynę, z której wystawały węże do pompowania kół.

Maszyna się przewróciła, a koła wiszące nad nią teraz samochodu obracały się w powietrzu.

Człowiek *spał* za kierownicą.

Nadszedł Žilo, który też ruszył na pozycje.

Koła nadal obracały się w powietrzu.

Ocknąłem się z letargu; wyciągnęliśmy rannego z przedniego siedzenia i rzuciliśmy go na tylne.

Jakiś łysy przechodzień zapytał, co ma robić.

Powiedziałem mu, żeby siadł za kierownicę i zawiózł rannego do szpitala.

Wsiadł do auta i cały w panice dodał gazu. Auto próbowało wzlecieć z maszyny prosto w marcowe niebo. Na bliższej glacy przechodnia lśniły malutkie krople potu.

– Wsteczny, wrzuc wsteczny! – darł się Žilo.

Facet wrzucił wsteczny i zjechał mercedesem na asfalt. Powietrze pachniało chrzczoną benzyną i paloną gumą.

– Jedziesz z nami do szpitala?

– Nie, muszę na front.

Odwalić kite, przebiegło mi przez głowę.

Strzelanina ustała równie nagle jak się zaczęła.

Miała swój wewnętrzny rytm i własne zamiary.

Stałem znieruchomiały jak drewniana Maryja obok przewróconej maszyny, z której wylewał się olej.

Wsiadłem do autobusu.

W środku zobaczyłem ludzi markotnych jakby jechali na własny pogrzeb.

Słysząc było tylko warkot silnika i skrzypienie drążka zmiany biegów.

– Ochujaliście, przecież nie idziemy na swoją stypę?

Byłem tak potwornie zjarany, że miałem w dupie swoją śmierć.

Do bunkra numer dwa wpełzała gęsta mastka mroku.

Następnego dnia o dziewiątej pięćdziesiąt miał się zacząć wspólny atak piechoty i artylerii³¹.

Kiedy leżałem w szpitalu, po pierwszym zastrzyku fortralu przypomniałem sobie żołnierza, który zwinnym susem przesadził okop i zaczął strzelać do koca wiszącego na drzwiach opuszczonej ziemianki. Był w pięciokolorowym mundurze polowym. Rzuciłem w niego zielonym granatem ręcznym i już go nie zobaczyłem. Mój Pokemon był silniejszy.

Wyłączyłem maszynę czasu i zapaliłem papierosa.

Zamówiłem zimne piwo laško.

W parku przed knajpą, w krzakach przypominających afro, gołębie żerowały na czerwonych owocach, swoim ciężarem wyginając cienkie gałęzie.

Na balkonie na pierwszym piętrze emeryt wypuścił z pudełka zapalek biedronkę na upstrzoną starczy mi piegami rękę.

31 Dalszy ciąg wydarzeń opisany jest w opowiadaniu *Koszmar to nasza specjalność* (przyj. aut.).

Piętro wyżej, do balustrady tarasu, z której osypywał się wilgotny tynk, był przytwierdzony talerz anteny satelitarnej.

Na metalowym frisbee zielone literki układały się w napis Gazija.

Dwóch nastolatków na balkonie trzeciego piętra paliło grubego blanta.

Kawa, papierosy, piwo, sikanie, rakija, banalne rozmowy, pijaństwo, ból głowy, zmalretowane ciało, gównno-dupa-chuj...

Marne błyskotki codzienności lśniły mi przed oczami.

Fantom wolności

Rzeka Miljacka płynie przez nasze sny. Zbiera piłki, półtoralitrowe butelki po coca-coli, rozczochraną głowę Barbie; niesie do Bosny młode klenie i brzany, trupy samotnych mężczyzn i kobiet – ich wytrzeszczone oczy przypominają rybie; unosi naszą przyszłość z second handu w głąb kontynentu, w kierunku Morza Czarnego. Oblepione fekaliami październikowe liście pływają po powierzchni wody. Miljacka przepływa obok Promenady Wilsona, gdzie starcy zażywają spaceru, aby uniknąć pierwszego zawału, usta przenoszą do ust dym trawy pomieszaney z piwem albo winem, drzewa przystrzyżone prawie na zapalną sterczą w długich szpalerach w nadrzeczej mgłę; przepływa pod mostem, pod którym bezdomni zostawiają swoje

odchody, a szare wrony kraczą nad mętną wodą jak fałszywi demiurgowie; przepływa obok mnie czekającego na autobus do przesiąkniętej deszczem Širokačy.

Miljacka płynie leniwie i cicho przez nasze narkotyczne sny.

Nad sztucznymi kaskadami niebo zwija się w stronę lustra rzeki, kipieli zatrzymuje przedmioty unoszące się na wodzie w gęstej pianie poniżej wodospadu. Na kamienistym brzegu inwalida bez nogi ubrany w moro łowi chude brzany. Pali driny, wyciągając je z miękkiej paczki kalekimi palcami, w lewej ręce trzyma kulę i patrzy na jej końcówkę. Tramwaj przetacza się obok niego, przynosząc zapach spalin i roztopionego asfaltu – ciepły oddech postępu cywilizacyjnego, który wypełnia bezpłatnym powietrzem białe i niebieskie reklamówki, fruujące jak dusze rozerwane na skutek zespołu stresu pourazowego.

Miljacka płynie jak Gwadalkiwir leniwie i cicho przez nasze upalone sny. Niemożliwe się nie kończy, podobnie jak nie ustaje nigdy golgota pokoju.